

**GERARD GÓRNICKI****Spotkanie z Rzymianką**

powieść  
(fragment)

**I**

GIOCONDA miała oprowadzać mnie po Via Appia, po Forum Romanum, po Termach Caracalli i objaśniać starożytnie ruiny Rzymu. Jej brat Serafino, sławny kolarz i strażnik w wwiezieniu pod wezwaniem Królowej Niebios, miał nauczyć mnie sposobu jedzenia makaronu przyrządzanego z sosem pomidorowym i z boczkiem. Tymczasem dowiedziałem się na Zatybrzu, że Serafino wyjechał przed rokiem do Neapolu, a Gioconda wyszła za męża i zamieszkała na wsi sycylijskiej, której nazwy nikt z jej krewnych w Rzymie nie pamiętał.

Znalazłem się w Italii sam, a musiałem spędzić w Rzymie kilka dni w oczekiwaniu na powrót z Francji profesora Giuseppe Andreoli, wybitnego znawcy średniowiecznej historii Włoch. Sympatyczny ten Wenecjanin, z którym korespondowałem już od dwóch lat, przyrzekł mi udostępnić ze swojej prywatnej biblioteki cenne materiały do mojej powieści o arianach.

Przed obiadem najczęściej wysiadywałem po parę godzin w bibliotekach, potem spacerowałem wśród luksusowych kamienic dzielnicy Parioli, odbywałem przechadzki po parku Borghese, w jego najbardziej odosobnione, najciemniejsze wieczorem miejsca, uczęszczane przez zakochanych. W kieszeni nosiłem list wybudzający nikłą nadzieję, list do Giocondy i do jej brata, napisany przez mojego przyjaciela Alberta, rzymianina z krwi i kości, zamieszkałego w Polsce.

Włóczyłem się po bulwarach nad Tybrem, w milczeniu przepływającym przez miasto, zachodziłem pod kamienne, stare mosty, strzeżone przez białe anioły. Nad mętными wodami tej rzeki lubił podobno siadywać mój przyjaciel Alberto i schowany wśród krzaków czekać na swoją Giocondę, którą później

porzucił, bo była bezwstydną, nie kochała go i zdradzała z jakimś bokserem z Gór Albańskich.

Wino włoskie nie smakowało mi, za bardzo rozwodnione, im więcej go się piło, tym mniej rozgrzewało.

Ulice rzymskie były o tej porze roku zaprzeczeniem wszystkiego, co można było sobie tylko wyobrazić o włoskim życiu. Leniwe, spokojne, milczące; nie tętniły gwarem ludzi i krzykiem tysięcy samochodów, nie zdobywały się na śpiew ani na śmiech. Nie było dziewcząt, otaczanych zgrają niedorostków, którzy by je szczypali i obmacywali.

Na rogach ulic znudzeni chłopcy prażyli na ogniu kasztany, obok wystawiali karabinierzy w czarnych uniformach. Na Piazza di Spagna w niedzielę, w listopadowym słońcu, które tylko w południe przygrzewało, zobaczyłem samotną dziewczynę. Daleko na wyniosłych, barokowych schodach, u podnóża kościoła. Pod obeliskami krzyczały dzieci odświętnie ubrane a ich matki, stojąc w słońcu pod ścianami tarasów, opowiadały sobie jakieś niesłychane nowiny. Dziewczyna nie miała pewnie jeszcze dwudziestu lat, ale była zbudowana jak kobieta trzydziestoletnia. Szedłem w jej stronę po schodach. Miała białą twarz, oczy czarne, wielkie, usta czerwone, włosy granatowe, długie. „Lucrecia” - nie wiedziałem, dlaczego tak nazywałem ją w myśli. Patrzyła z góry na fontannę w kształcie zatopionej barki, leżącą na placu, srebrną od słońca. Stanałem blisko dziewczyny, udając zapatrzenie we własne myśli, ale miałem przed oczyma jej okrągłą twarzyczkę. Wtedy wydało mi się, że nasyciłem się już miastem, którego cichy, daleki szum sączył się przez szarordzawą mgłę, a przecież nie można się było nigdy nasycić jego urokami. Dziewczyna z niechęcią odpowiadała na moje pytania, dość prozaiczne, dotyczące rzymskich ulic i placów, jakby brała przepych miasta za rzecz zupełnie codzienną. Spojrzałem w jej oczy i pomyślałem sobie, że tak śliczna, nie mogła prowadzić życia zwykłego i prostego wśród tych wspaniałych dostojeństw Rzymu. Musiałem więc mieć do czynienia z jakąś księżniczką, ale gdy powiedziałem jej to, odparła z uśmiechem, iż jest biedną dziewczyną i nie czuje się zdziwiona ani obrażona moim natręctwem. Zbiegła po schodach w dół i zniknęła wśród przechodniów. Wszystko dookoła, całe miasto stało się nagle dla mnie puste. Na placu nastąpiła dziwna cisza, tylko trwał nieustanny szelest wody w fontannie. Dziewczyna odeszła w głąb ciasnej, chłodnej ulicy Condotti, smukła i zgrabna. „Dlaczego pozwoliłem jej odejść?” - powtarzałem, ale szept mój rozpułynał się w powietrzu. Rzym pałaców, kościołów, placów, fontann i kolumn musiał być

zatem odmienny od Rzymu jego mieszkańców, to stwierdzenie przyszło mi do głowy mimo woli, gdy pomyślałem o zachowaniu się dziewczyny. Niemal upokorzony, opuściłem maleńki Piazza di Spagna i poszedłem przed siebie, szukając chłodu potężnych murów bardzo starych domów, których wciąż w Rzymie więcej niż nowych. I znowu błąkałem się, jak dnia poprzedniego, po Bazylice Św. Piotra; bezradny, zagubiony. Rzadko kto się tam modlił, kościół wydał mi się pusty, chociaż ogromny, zdumiewająco piękny, zaludniony posągami i grobowcami.

...do Watykanu poszedłem pieszo, ulicami długimi, schludnymi, o nazwach zaczerpniętych z wielkiej historii. Trwały obrady II Soboru Watykańskiego. Michał Archanioł stał na szczycie mauzoleum Hadriana, pod niebem, z wyciągniętym mieczem, a białe, lekkie chmury uciekały znad Rzymu na południe. Kopuła Bazyliki Św. Piotra kredowo biała wabiła niebieskim odblaskiem. Plac przed nią był bezludny, kamienny. Policjanci włoscy przystawali grupkami pod surowymi ścianami poczwórnej kolumnady Berniniego. Sylwetki pojedynczych ludzi wydawały mi się maleńkie, a schody Bazyliki - kolosalne, harmonijne, płynne. Trzy rzędy drewnianych balustrad zamykały drogę do drzwi świątyni, odczułem nagle niepokój, że nic więcej nie zobaczę. Wpatrywałem się w spiżową bramę bezradnie, szwajcarscy gwardziści przechadzali się paradnym krokiem tuż za progiem pałacu papieskiego; pod czarnymi, szerokimi beretami mieli rozlane, brzydkie twarze i czujne oczy.

Przy fontannie swawoliły rzymskie dzieci, powracające ze szkoły; nabierały wodę w dłonie i oblewały się nią wzajemnie. Na wysokich murach otaczających Watykan, między herbami z tiarą i kluczami, w drobnych szczelinach rosły pęki traw i jakieś blade kwiaty. Było południe. Siedziałem w słońcu, pod kolumnadą, obok starej żebraczki, kiedy z Watykanu zaczęły wyjeżdżać samochody w stronę miasta. Gwardziści salutowali albo prezentowali broń; mieli nowe karabiny z zatkniętymi na nich bagnetami. Za szybami samochodów łowiłem twarze dostojników: skupione, zmęczone, stare, młode i milczące. Na Plac wyroili się księża biali, księża czarni i żółci, w czarnych, czerwonych, fioletowych sutannach, z brodami i gładko wygoleni, w habitach białych i brązowych. Oczekiwałem jakiejś ceremonii, ale nic podobnego nie odbyło się, tylko rozplywało się szybko to barwne widowisko. Potem zrobiło się cicho i szaro. Na schody bazyliki pośpieszyła gromadka ludzi i kilka zakonnic. W przedsionku zatrzymało mnie trzech

milczących mężczyzn, zrobili rewizje w mojej sportowej torbie i oddali ją do szatni. Wśród niesłychanego przepychu, mnóstwa kolumn marmurowych, wśród złocen łuków, sklepień i kopuł, wśród obrazów, rzeźb, sarkofagów i pomników panowała zupełna cisza. W środkowej nawie stały trybuny obite czerwienią. Odczuwałem, że wzrok mój słabł z minuty na minutę, oglądane fragmenty ginęły mi zaraz w oczach, ogarniało mnie roztargnienie, nie miałem cierpliwości ani nadludzkiej wyobraźni arcy mistrzów, patrzyłem dookoła jakby przez odwrotną stronę lornetki.

Windą pojechałem na dach bazyliki, potem poszedłem wąskimi, ciemnymi i krętymi schodami, ciasnymi korytarzami o nachylonych ścianach na szczyt kopuły. Zaczął siąpić drobny deszcz, ale miasto leżało blisko, wyraźnie jak na dłoni - jasnozielone, a horyzont wyznaczały czarne gaje pinii i cyprysów. Tyber lekko błyszczał. Wtedy zdumiała mnie moja własna radość z odbytej wspinaczki, z widoku miasta i otaczających go przytulnie łagodnych wzgórz. Ostatnie promienie zachodzącego słońca wpadły na chwilę do środka miasta jak do otwartego w kopule Panteonu, olbrzymim, skośnym, złotym słupem i zaraz rozproszyły się w harmonijnie rozłożonej przestrzeni łatyńskiej doliny, weszły na niebieskie kopuły kościołów, na Kapitol, na Colosseum, na biały pałac królewski, najwyższy w Rzymie. Spostrzegłem, że zostałem na szczycie kopuły sam, oparty o balustradę. Na ogromnym placu, w dole, zobaczyłem spóźnioną żebraczkę, która bardzo wolno wchodziła w nowoczesną ulicę Pocieszenia.

Na Corso Umberto pochłonał mnie ożywiony ruch. Na Piazza Colonna, pośród starych, jońskich kolumn gruba przekupka rozłożyła kosze i sprzedawała kwiaty: żółte mimozy, białe róże i fiołki. Obok stała dziewczyna, może jej córka, z kudłatym chłopcem. Była ładna, lecz w tamtej chwili wyglądała brzydko, bo wśród leniwych, słodkich słów, ciskała raz po raz jakieś syczące, zjadliwe uwagi w nachmurzoną twarz swojego przyjaciela, który utkwiał wzrok w kwiatkach. Znienacka dziewczyna spojrzała mi w oczy i umilkła. Jej brzydka, zła twarz przemieniała się powoli, gasł w jej rysach gniew, stała piękna, jasna, z rozszerzonymi, zielonymi oczami. Odpowiedziała uśmiechem na mój uśmiech, była sympatyczna. Stałem się mimo woli świadkiem jej dramatu sercowego, komplikacji powstałych zapewne wskutek jakichś nieznanymi mi, przez tego kudłatego chłopca stwarzanych, przeszkód. Komplikacje dały tylko o sobie znać pełną rozpacz

perswazją i wybuchami jej gniewu. Kupiłem różę i ofiarowałem ją dziewczynie. Popatrzyła mi w oczy, olśniona moim sztubackim gestem.

Po kamieniach, po starych murach pięły się nagie, żylaste powoje bez liści. Daleko w dole, na końcu Fori Imperiali sterczał ogromy krater Colosseum w połowie rozdarty. Ponad dachami na tle białego pałacu wznosił się dumnie marmurowy pomnik króla Wiktora Emanuela z kwadrygami, pędzącymi jakby ponad Piazzo Venezia i...nad moja głową. Pinie, z rozłożonymi na płask koronami, zabłąkane w mieście, prawie czarne, stały nieśmiało po kątach ulic. Świadomość tego, że w pobliżu, między ledwo dostrzegalnymi wzgórzami, za zieloną skarpą, biegła najmizerniejsza, najślawniejsza ulica świata, Via Sacra - wśród strzaskanych kolumn marmurowych i wśród szczątków świątyń - przez którą po wytartych kamieniach przewędrowały całe wieki, sprawiło mi gorącą satysfakcję. Ale na Forum Romanum, na Palatynie - rozciągało się zamarte, przerażające bezludzie; nie kwitły już stokrotki, nie śmigwały między kamieniami jaszczurki ani koty, nie śpiewały słowiki. Uniosłem głowę - wysoko, hen po jasny błękit sięgały krzesane głązy potężnych ścian Colosseum. W skupieniu rozglądałem się po jego wnętrzu, pragnąc do syta napatrzeć się zmurszałym, ponurym dołom, lożom i sklepieniom kolosa. W pewnej chwili zza węgła wybieg wprost na mnie pyskaty przekupień z pamiątkami i pocztówkami. Cofnąłem się z przestachem.

Postanowiłem pojechać gdzieś daleko, poza to dziwne miasto, chociażby do Ostii, mimo że o kąpieli w morzu nie było już mowy o tej porze roku. Na dworcu metro znajdującym się tuż przy Colosseum wsiadłem do pociągu. Przedział był pusty, co tym razem nie sprawiło mi przykrości, nie lubiłem bowiem prowadzić rozmów podczas podróży. Dopiero na dworcu Circo Massimo weszła do wagonu Clementina. Zanim ją zobaczyłem, usłyszałem wpiersz jej imię. Za oknem, na peronie stał mężczyzna o miedzianej twarzy Cygana i nerwowo wołał: „Clementina! Clementina! Tamto wszystko jest nieprawda. Posłuchaj... Kupię bilety do kina na ostatni seans. Wystarczy mi pieniędzy. Wróć przed wieczorem, Clementina! Czekam!”

„Zobaczę” - odpowiedziała dziewczyna i siadła naprzeciwko mnie.

Wtedy pociąg ruszył. Przez cały czas, aż do następnej stacji, patrzyłem tylko na nią. Miałem wrażenie, że była tym nieco zdziwiona, parę razy spojrzała mi w oczy, ale nie potrafiła się ocknąć z zamyślenia. Wstała i podeszła do okna. Taksowałem jej postać od stóp do głowy: same biodra i piersi, bez talii, i krótka szyja. Milczałem, bo o czym miałbym z nią rozmawiać? Wreszcie, gdy

pociąg wyjechał już poza starożytne mury miasta i przed oczyma roztoczył się rozległy widok, mimo woli powiedziałem:

- Będziemy przejeżdżać obok bazyliki San Paulo.
- Tak.

Nie poruszyła się, tylko przymknęła oczy. Zapanowało znowu milczenie. Szosą sunęły samochody. Prawdę mówiąc, doszedłem w swojej samotności do takiego stanu, że marzyłem o spotkaniu ślicznej dziewczyny i o podróży z nią na Sycylię.

W pewnej chwili Clementina odwróciła się od okna. Siadła i popatrzyła na mnie jakby weselszym okiem.

- Pan skąd przyjechał?
- Z Polski.
- Ooo! Z daleka.
- Podróż trwała czterdzieści godzin.
- Moja matka jest chora i zapewne nie wróci już na północ. I nie lubi cudzoziemców - powiedziała mi stąd, ni zowąd, naiwnie i z zakłopotaniem. Musiała położyć Polskę skojarzyć z północą, a myśl o dalekiej podróży, której matka jej nie mogła odbyć, zabiła dziewczynę.
- Ile twoja matka ma lat?
- Niewiele ponad czterdzieści, ale wygląda starzej. I nie wróci już na północ.
- Dokąd?
- Na północ, do Udine.

Nie można było odmówić Clementinie pewnego uroku. Wyglądała ładnie z tymi swoimi czarnymi, ogromnymi oczami i uczesaniem Mony Lizy. Twarz miała trochę za szeroką i była niezgrabna, co ujmowało jej wdzięku. Słowem dziewczyna z jakiejś biednej rodziny, służąca albo pielęgniarka.

Zrobiło mi się jej żal, zdawała się być naprawdę zmartwiona i miała łzy w oczach.

- Na pewno matka wyzdrowieje - szepnąłem.
  - Nie. I Serafino pójdzie do więzienia.
  - Dlaczego?
  - Miał żal do Antonia o mnie. Dał mu w knajpie pięścią w twarz. Antonio krwawił i krzyczał, że Serafino chce go zamordować, że jest postrachem Rzymu. Przyszedł policjant, Serafino miał w kieszeni rewolwer.
- I tak zaczęła się moja znajomość z Clementiną.

Wysiedliśmy na dworcu San Paulo. Ona szła przodem i znowu zaczęła swoją gadaninę o chorej matce, o Serafino, i o więzieniu. Wytrzeszczała oczy,

mówiła więcej sama do siebie niż do mnie. Przyspieszała kroku, a ja niemal biegłem za nią. W końcu przystanęła na skrzyżowaniu ulic, powiedziała, iż jej matka mieszka tutaj w pobliżu i jeżeli chcę, to mogę zwiedzić bazylikę San Paulo, bo Marie nienawidzi cudzoziemców. Dodała:

- Przykro mi, przecież my Włosi... Pan to wie doskonale...

- Tak, wiem. Oczywiście.

Przeszła na drugą stronę ulicy i wśród drzew zniknęła mi z oczu.

Wszedłem do bazyliki. Było niedużo ludzi, oceniłem po ich skromnych ubraniach, że nie są zbyt zamożni. Ksiądz gestykulował, stojąc za balaskami. Wygłaszał kazanie z patosem i z taką gorliwością w słowach, że przyszedł mi na myśl Savonarola. Wszyscy patrzyli na księdza skruszeni i nikt nie zwracał na mnie uwagi, a ja ze słów kaznodziei najczęściej chwyciłem jedno - „inferno”, co znaczy „piekło”. Był to bardzo duży kościół w kształcie krzyża egipskiego, pięcionawowy o niezliczonej ilości kolumn. Wzrok utkwilem w suficie z renesansowymi kasetonami, potem zacząłem krążyć po bazylice, zaszedłem na krużganek z kolumnami pokrytymi mozaikami na wzór bizantyjskich. W końcu siadłem na ławce na wprost łuku, podtrzymywanego dwoma granitowymi kolumnami i przez dłuższą chwilę patrzyłem przed siebie bezmyślnie. Czułem na twarzy piwniczny chłód, chociaż dookoła było jasno od słońca. Myśl o moim przyjacielu Albercie podniosła mnie wprawdzie przez moment na duchu w tym obcym mieście, ale zarazem uświadomiłem sobie, że Serafino, którego widziałem na dworcu Colosseum, nie może być bratem Giocondy, nie wyglądał bowiem na więcej niż dwadzieścia pięć lat, a poza tym dawny przyjaciel Alberta był strażnikiem więziennym i przebywał już w Neapolu. List Alberta pozostał więc bez adresata, tkwił w kieszeni, w zanadrzu, bezwartościowy, skaza-my na zniszczenie. Ale nie spieszyłem się z wykonaniem tego wyroku. Poruszyłem się, pragnąłem jak najprędzej wyjść z kościoła, postanowiłem bowiem wrócić na dworzec San Paulo i pojechać do Ostii. Zaraz po mszy bazylika opustoszała. Stąpając na palcach, szedłem w stronę drzwi, oświetlonych słońcem. Gdybym w tej chwili zobaczył Clementinę, nie cofnąłbym się i nie zmienił decyzji. Ale kiedy ją zobaczyłem, idącą w moją stronę, dziwnie ucieszyłem się jej widokiem. I ona musiała doznać podobnego uczucia, inaczej bowiem nie odezwałaby się do mnie ciepłym tonem, tymi słowami:

- Kto nie umiera, ten się spotyka.

Nic więcej nie mówiąc schyliła głowę i poszła na środek bazyliki. Uklękła, złożyła głęboki ukłon. Modliła się dłuższy czas, ukrywając twarz w dłoniach.

Przyglądałem się kolorowym witrażom. Pograżony w ciszy kościół napelniał mnie lękiem.

Clementina znowu pochyliła się, popatrzyłem na jej czarne, połyskujące włosy. I zapewne przez litość dla niej nie pozostawiłem jej, a postanowiłem czekać, aż skończy ostatnią modlitwę. „Być może, że pójdę za nią, za jej cieniem, w poszukiwaniu przygód, i sam nie wiem czego jeszcze oryginalnego” - pomyślałem z przesadną egzaltacją. Zawstydziłem się śmiesznością tego, co robiłem.

Po chwili posłyszałem jej głos. Wstała już i zwróciła się twarzą w moją stronę. Wydała mi się obca, jak przed godziną, położyła na policzkach. Byłem spokojny, nic by się nie stało, gdybym pożegnał się z nią i pojechał do Ostii, jak zamierzałem. Clementina położyła swoją drżącą dłoń na mojej ręce.

- Co się stało?

- Nic. Co z twoją matką?

- Przewleka się jej umieranie. Ma bardzo zdrowe serce.

Zamilkłem, ale to znaczyło, że brnąłem w jakąś historię, której nie pojmowałem. Przymknąłem powieki, aby nie widzieć twarzy Clementiny.

- Pożegnamy się tutaj - to ona powiedziała.

Nic nie odrzekłem. To była prawda, że chciałem wreszcie pożegnać się z nią, ale stałem bezradny.

- No tak - podniosłem na nią oczy. - Wrócę z tobą. Odprowadzę cię do domu.

- Nie mam domu.

- To gdzie mieszkasz?

- Gdzie?

- Domyślałam się, że...

- Więc dlaczego pytasz?

- Mogłaś zostać przy matce.

- Ona pragnie mieć ciszę i nie chce nawet patrzeć na mnie. Nie rozumiem Marie. Przyjęła mnie przekleństwami. Wygląda okropnie.

Wyszliśmy z bazyliki w oślepiające promienie słońca. Na ulicy było gorąco. Nie wiem nawet, w którym momencie, Clementina zginęła mi nagle z oczu za wiaduktem kolejowym. Ale znowu się ukazała nad brzegiem Tybru. Potykałem się o przechodniów, szedłem z oczyma utkwionymi w jej sylwetkę. Na moście zaczęła biec i zatrzymała się dopiero przed gmachem jakiegoś ministerstwa. Obejrzała się, potem uciekała dalej w kierunku Watykanu. Szedłem szybkim krokiem, wytrwale, ciągle z oczyma utkwionymi w

ciemnozieloną sukienkę Clementyny. Bałem się, że zboczy gdziekolwiek, wejdzie w jakąś bramę. Śmieszność tej gonitwy odbierała mi siły. Dlatego też nie zauważyłem chwili, kiedy dziewczyna stanęła na środku ścieżki, wśród drzew, na zboczu góry del Gallo. Czekala na mnie. Z bliska zobaczyłem, jak pochylała głowę, twarz zasłaniała jej fala rozpiętych włosów, jak podnosiła głowę poruszając wargami. Podchodziłem ku niej powoli i patrzyłem jej w oczy.

- Co to znaczy? Dlaczego uciekasz?

- Odejdź! Daj mi święty spokój... Odejdź!

Masz chyba swoją dziewczynę i wiele innych w całym Rzymie, a musisz mnie gonić. Czy chcesz, żebym zawołała Serafina?

- Którego Serafina? Bo ja noszę w kieszeni od tygodni list do strażnika Królowej Niebios, ma na imię Serafino. I ma siostrę, nazywa się Gioconda. Może ich znasz? - byłem rozdrażniony i czułem się upokorzony. Nawet pokazałem jej ten list w białej kopercie, zmięty. Mówiłem coś bez przekonania, ale powtarzałem w duchu, że muszę zachować spokój i nie pozwolić odejść Clementinie.

Nic więcej nie powiedziała, może dlatego, że obok nas przechodził właśnie stary, zgarbiony mnich o zaszuszonej twarzy, trzymający w dłoni otwarty brewiarz. Oczy jego duże i jasne patrzyły na nas bez zaciekawienia. Było to niedaleko watykańskiego dworca kolejowego. Kierowaliśmy się w stronę miasta.

W autobusie Clementina powiedziała do mnie tylko jedno zdanie:

- To jakieś nieporozumienie.

Popatrzyła na mnie czarnymi, zamglonymi od zmęczenia oczami. Przez chwilę obgryzała paznokiec kciuka, po czym utkwiała wzrok w oknie i tak dojechaliśmy na drugi koniec Zatybrza. Nawet nie próbowałem jej czegokolwiek tłumaczyć. Clementina wysiadła, poszedłem za nią. Nie patrzyła na mnie, zatrzymywała się raz po raz przed skrzyżowaniami ulic i przed wystawami sklepów. Odczułem niesmak tego spotkania z nią. Przeszliśmy w milczeniu parę ulic, prowadzących wyraźnie w kierunku Monte Mario. Po prawej stronie, niżej, zobaczyłem wysokie, białe mury stadionu olimpijskiego. Mój przyjaciel Alberto opowiadał mi kiedyś, w kraju, o złodziejskich spelunkach, ukrytych na zboczu Monte Mario, w pieczarach utworzonych w piasku, zarośniętych krzakami jeżyn. Przyglądałem się z irytującą ciekawością zboczom góry, miejscami żółtej i kamienistej, poszarpanej jak całe Apeniny.

- Czy Serafino jest tutaj? - zapytałem.

- Nie wiem - odparła Clementina, patrząc gdzieś daleko na drugi brzeg Tybru. - Przyjdzie Serafino, na pewno przyjdzie - powiedziała nagle z zapałem. Nie mogła już panować nad sobą i zaczęła cichutko płakać.

Połykała Izę i zaciskała mocno powieki, aby nie było widać, że płacze.

Udawałem, iż nie widzę jej łez. Począłem opowiadać po kolei najdrobniejsze zdarzenia z mojego krótkiego pobytu w Italii. Clementina wzięła mnie w pewnej chwili za rękę dziecięcym gestem i skierowała się w stronę skalnej szczeliny. Siedliśmy pod ścianą w obszernej grocie, do której wejście było na wpół zasypane. Początkowo nic nie widziałem, ale po kilku minutach rozpoznawałem już ostre rysy twarzy dziewczyny.

- Poczekamy tutaj na Serafina - rzekła.

- Możemy poczekać.

- Nie boisz się? Powiedz.

- Nie.

- Masz list do strażnika Królowej Niebios.

Dlatego się nie boisz.

- Mogę ten list zaraz zniszczyć. Jest mi już zupełnie niepotrzebny.

Opowiedziałem Clementinie całą historię tego listu. Gdy przestałem mówić i chciałem ją objąć, odsunęła się w kąt i prosiła, abym znowu coś opowiadał.

Wymyślałem przeróżne historyjki, nie zawsze prawdziwe - z moich lat szkolnych. Clementina zaczęła się śmiać razem ze mną i tak oto szybko, może za szybko, doszliśmy do kresu naszej rozmowy. Natrętna myśl o Serafinie wyleciała mi zupełnie z głowy.

Była jeszcze noc, ale niedługo już miało świtać. Szliśmy powoli opustoszałymi, wąskimi ulicami. Chodniki były wilgotne od rosy.

Clementina szła ze spuszczoną głową i nie odpowiadała na moje pytania. W pobliżu dworca Termini zobaczyłem z daleka hotel, w którym mieszkałem. Przed drzwiami wziąłem Clementinę za i rękę wprowadziłem ją do mojego pokoju na drugim piętrze.

- Dobrze, że jesteśmy już w domu - szepnęła.

- Gdzie?

Nie powiedziała nic więcej. Wyczułem, że tym pytaniem sprawiłem jej przykrość, może i ból. Była blada, miała wyschnięte wargi i przepecone ciało.

Zasnęła zaraz.

Siadłem w fotelu i oczekiwałem dnia.